

HERBERT HARRIS

BIMBER, BRACIE!



Od czasu, gdy mój wujek Leo (który był drobnym oszustem, podobnie jak reszta rodziny) porzucił Brytanię dla Ameryki pod koniec lat dwudziestych, żeby poprawić sobie byt, i przypadkowo został zastrzelony w trakcie krótkiej sprzeczki między (jeśli dobrze pamiętam) Wielkim Jimem Florrio a Holendrem Schmalzem, nigdy nie miałem najmniejszych kontaktów z podziemnymi sferami, zajmującymi się przemytem czy nielegalną produkcją alkoholu, bo chyba się z tym nie zetknąłem aż do niedawna.

Może zdziwi was, jeśli powiem, że w czasie, gdy zastrzelono mi wuja, pełna butelka szkockiej whisky w Brytanii kosztowała jakieś osiem szylingów, natomiast dzisiaj, w tym niesławnym roku 1983, za taką samą flaszkę bursztynowej ekstazy, nawet produkowanej legalnie, płaci się od sześciu do siedmiu funtów, a przy tym te skąpe sukinsyny z Whitehall ciągle nakładają na nią nowe podatki.

Podałem te ceny tylko po to, by podkreślić fakt, że na wyspach pod królewskim berłem od lat istnieje szerokie pole do popisu dla kogoś, kto chciałby produkować bimber czy samogon i rzucać na rynek, czarny oczywiście, za pół oficjalnej wartości.

Gdybym tylko miał odpowiednie urządzenia, sam pewnie bym się tym zajął. Ale choć w tej dziedzinie mojej skromnej osobie nie zbywało na inicjatywie, z całą pewnością nie brakowało jej Angusowi Maconochiemu, jedynemu inicjatorowi nielegalnej destylarni, z jakim rzeczywiście miałem kiedykolwiek do czynienia.

Lecz nie sprzedajmy faktów. Jeśli chcecie się dowiedzieć, jak doszło do tego, że usłyszałem o tym handlarzu bimbru w kraju, gdzie takich jak on trzeba szukać ze świecą, należy poznać „Matyldę” Niekochańską.

Matyldę umieściłem w cudzysłowie, bo to jej przezwisko. Jest Australijką (wiadomo, jak w tej piosence o walczącej Matyldzie), która odziedziczyła wszystkie niepożądane cechy po jakimś facecie od łopaty, zesłanym niegdyś do Nowej Południowej Walii na pokładzie statku wiozącego skazańców. Matylda nie jest też wcale taka niekochańska Prawdziwym powodem, dla którego w więzieniu Holloway trzymają komplet ręczników z nazwiskiem Matyldy, są jej nieustanne próby podzielenia się ciepłem swej tkliwej natury z całkiem obcymi przedstawicielami płci odmiennej.

Znajomość z Matyldą Niekochańską odnowiłem w barze „Pod Błękitną Małą” pewnego wieczora, gdy w Soho z okorowanych drzew z szelestem opadały jesienne liście, a w sali z setki papierosów z filtrem unosiły się spirale dymu. Zaletą takiego lokalu jest to, że od czasu do czasu spotyka się tam ludzi, którzy mogą przysłużyć się człowiekowi, i przypadkowo zdobywa odrobinę cennych informacji, dających się z pożytkiem wykorzystać.

Kiedy Matylda oświadczyła konspiracyjnie, że jak mi coś powie o Maconochiem, to zdębuję, nadstawiłem uszu niczym dobrze wyszkolony pointer.

U Matyldy wszystko jest duże, łącznie z oczami, które wlepiła we mnie niby błyszczące kule sponad kieliszka różowego dżinu. Nie widziałem jej całe wieki i chyba trochę się za nią stęskniłem. Swym urokiem w określony sposób działała na stuprocentowych samców, ale nie musimy się tym zajmować.

Nieco wcześniej, już po etapie okrzyków radości z ponownego spotkania, kiedy usiedliśmy w ustronnym kąci sali, oddając się pijaństwu, zapytałem ją, czy to prawda, że sporządzała.

- No jasne - odparła potrząsając energicznie blond czupryną. - Twierdzą, że w więzieniu najgorszy jest brak mężczyzn. To absolutna tortura dla takiej dziewczyny jak ja.

Powiedziałem kilka słów pocieszenia.

- A od czasu, jak wyszłaś?

- No więc, jakiś stary przyk zabrał mnie na tę wiejską zabawę. I poznałam tam tego wspaniałego faceta, Szkota o nazwisku Angus Maconochie, który miał w sobie coś hipnotyzującego. Dziewczyna w jego rękach topnieje jak wosk.

Matylda uśmiechnęła się na samo wspomnienie.

- W każdym razie wszystko mu o sobie powiedziałam... absolutnie wszystko. Wysłuchał mnie z ogromnym zainteresowaniem, a potem spytał, czy chcę u niego pracować. Więc, trochę z ostrożności, poprosiłam o szczegóły. No i powiedział mi i od razu się zgodziłam. Z początku naprawdę wyglądał na kawał gorącego chłopca, ale okazało się, że ma w sobie coś z zimnej ryby

Zachęciłem ją do dalszych zwierzeń.

Kiedy Matylda oświadczyła, że sporządzała, określenie to było nieco zwodnicze.

Co prawda już nie częstowała się zawartością pękających portfeli swych klientów i nie opuszczała domu towarowego z torbą pełną damskiej bielizny pod sukienką, udając zaawansowaną ciążę, co zwykła niegdyś robić. Jednakże zajęcie asystentki Angusa Maconochiego, nawet przy najbujniejszej wyobraźni, trudno uznać za wejście na drogę ucziwości, o czym wkrótce się przekonacie.

- Stary Maconochie, ojciec Angusa, był czymś w rodzaju naukowca amatora - wyjaśniła Matylda. - Z tyłu, za domem, miał to swoje cudownie wyposażone pomieszczenie, wiesz, takie laboratorium badawcze, a dom był ukryty w lesie w przepięknym otoczeniu, na zupełnym odludziu. I oczywiście, kiedy wyciągnął kopyta, pozostawił to wszystko Angusowi...

Twarz Matyldy zajaśniała jednym z tych jej czarujących uśmiechów, tak wysoce niebezpiecznych dla co bardziej podatnych.

Właśnie wtedy postanowiła pójść na całego i powiedzieć mi o swym pracodawcy to, od czego miałem zdębieć.

- Angus Maconochie nie ma naukowych zapędów jak jego tatuś - ciągnęła - ale z pewnością miewa znakomite pomysły. Uznał, że można wykorzystać laboratorium starego w jakimś naprawdę pożytecznym celu. Widzisz, jakby ci tu powiedzieć... wszystkie te szklane rurki, retorty i tak dalej same się prosiły...

Z trudem przełknąłem ślinę, przypomniawszy sobie, jakie obrzydliwości trzymają ci zwariowani naukowcy w probówkach.

- A co właściwie robi ten facet? - spytałem.

Matylda wybuchnęła zdrowym śmiechem, ukazując różowe dziąsła.

- Popatrz - rzekła. - Widzisz to tam?

Ruchem głowy o włosach barwy cytryny wskazała w stronę kilku butelek na górnej półce za barem.

- Widzisz tę butelkę Rabbie Burnsa?

Pewnie, że widziałem. Butelka szkockiej whisky o nazwie Rabbie Burns. Miała bardzo atrakcyjną nalepkę z portretem, jak mi się zdawało, jakiegoś szkockiego poety narodowego oraz napisem „Fine Old Matured Whisky, 100° proof”.

- Wygląda normalnie - powiedziałem. - Co jest grane?

- To majstersztyk Angusa Maconochiego - rzekła Matylda. - Właśnie on ją robi.

Jak już zdążyłem wspomnieć, od czasu, gdy wuj Leo w kwiecie wieku stracił życie w lokalu określanym przez ciotkę Rose mianem ohydnej meliny, nigdy nie słyszałem o kimś, kto by prowadził bimbrownię, patrzyłem więc na moje blond vis-à-vis z nie ukrywanym zdumieniem.

- Maconochie nie musi oczywiście płacić rządowi żadnych podatków ani czegoś w tym rodzaju - wyjaśniła - może więc sprzedawać wszystko za połowę normalnej ceny i mimo to całkiem przyzwoicie zarabiać. A przy tych wszystkich prywatnych domach gry i knajpach, jak na przykład ta, nigdy nie zabraknie mu klientów.

- Jasny gwint! - szepnąłem z uznaniem. - Musi robić kupę forsy.

Moja blondynka ponownie przytaknęła energicznym potrząśnięciem głowy.

- No pewnie - rzekła - a do tego cały szmal trzyma w starej żelaznej szafie, a nie w banku. Przypuszczam, że ten biedaczek po prostu boi się, żeby poborcy podatkowi nie zada-

wali mu za dużo kłopotliwych pytań.

Znów przełknąłem ślinę, tym razem z jeszcze większym trudem. Chyba zachowywałem się trochę jak idiota. Zacząłem przewracać oczami, a potem zarechotałem.

- Matylde, kochanie - rzekłem. - Bujasz mnie, prawda?

- Słowo, że nie. Serio - szczerze zapewniała mnie Matylde. - Oczywiście Maconochie nigdy mi się właściwie nie zwierzał, że zebrał aż tyle forsy, ale kiedyś zostawił drzwi otwarte i przypadkowo zajrzałam do tej szafy. I, bracie...

- No i? - dopytywałem się zwilżając wargi koniuszkiem języka.

- Leżały tam całe grube pliki pięćofuntówek! Aż mi, bracie, ślinka na ten widok pociekła! Przypuszczam, że nawet połowa tego ustawiłaby mnie na długie lata!

- To bardzo interesujące, kochanie - powiedziałem pochylając się ku niej tak blisko, że czułem ruch powietrza od jej trzepocących rzęs. - Naprawdę bardzo interesujące. A czy Angus Maconochie przypadkiem czasami nie wyjeżdża?

Jej odpowiedź zabrzmiała w moich uszach jak chóry anielskie.

- Jasne. Akurat teraz tak się składa, że go nie ma. Wraca najwcześniej pojutrze.

- Napij się jeszcze, kochanie - rzekłem. - Czegoś naprawdę drogiego. Dla mnie... Ja spróbuję Rabbie Burnsa.

- Uwielbiam mężczyzn z charakterem - powiedziała.

Gdyby Matylde tak bez skrępowań nie leciała na mężczyzn, nigdy by mi nie dała takiego bardzo poszukiwanego cynku. Lecz miała do mnie słabość, o co zawsze ją podejrzewałem. Można rzec, łączyło nas pokrewieństwo dusz.

Wyglądało, że to chyba najłatwiejsza robota, jaka mi się kiedykolwiek nawinęła. Wystarczy tylko kiwnąć palcem. Moja blondyna miała nawet klucz od domu tego Szkota, nie musiałem więc badać terenu i włamywać się, żeby tam wejść.

- Gdybyś miał tylko furgonetkę - podsunęła usłudźnie, koniuszkiem palca wskazującego gładząc mój nadgarstek - mógłbyś tam jechać i poczęstować się o każdej porze, w dzień czy w nocy. Wiesz, poza tym, że ten dom ukryty jest na końcu świata i na pełnym odludziu Maconochie używa niewielkiej furgonetki, którą przyjeżdża tam od czasu do czasu po towar dla swych klientów. A więc furgonetka nie rzucałaby się w oczy. Załapałeś?

- Nim skończyłaś, kochanie - rzekłem. - I podziwiam cię za odwagę. Okazałaś jej więcej niż przy wkładaniu sukienki, którą masz na sobie.

- Bezczelny! - powiedziała chichocząc i dała mi kuksańca.

Chciałem ją wtedy po prostu wycałować z radości. Później chętnie bym jej skręcił kark, ale w tamtej chwili wszystko zapowiadało się tak dobrze, tak obiecująco...

Będę jednak całkiem szczerzy. Popelnilem jeden wielki błąd taktyczny, zabierając ze sobą Taffy'ego Thomasa, kiedy szedłem na robotę do Maconochiego.

Taffy Thomas to ogromne chłopisko z wielkim sercem. Ostatnimi czasy rzadko trafiała mu się robota i pomyślałem sobie, że zrobię mu przysługę z czystej wielkoduszności. Poza tym Taffy był przypadkowo właścicielem niedużej furgonetki. Niestety, jego mózg stanowił całkowite przeciwieństwo jego ogromnego cielska i dlatego, jak sądzę, nie miał ostatnio zbyt wiele pracy.

Zapytałem Matyldę, czy by z nami nie poszła, ale odparła, że się do tego nie pali, albo coś w tym rodzaju.

- Nie chcę, żeby mnie znów zapudłowali, przynajmniej póki nie wprowadzą więzień koedukacyjnych.

Często się zastanawiam, skąd ona zna takie słowa?

W każdym razie było nas dwóch: ja i Taffy Thomas oraz furgonetka nie całkiem tak stara jak ford model T.

Jak powiedziała moja blond przyjaciółka, dom Szkota stał wspaniale ukryty w lesie, na pełnym odludziu. Stary Maconochie pragnął mieć laboratorium, w którym mógłby praco-

wać w całkowitym spokoju i gdzie by mu nikt nie przeszkadzał.

Podobnym pragnieniem kierował się jego syn Angus, tylko że produkt był zupełnie inny: „Rabbie Burns, Fine Old Matured Whisky, 100° proof”.

- Nie uważasz, bracie - odezwał się Taffy Thomas swym akcentem z zielonych dolin walijskich - że poza plikami pięciofuntówek można by też rąbnąć parę butelek tego mocniejszego towaru?

- Oduść to - powiedziałem ostro. - Lepiej myśl o szmalu. Zapomnij o tym zajzajerze. Kupisz sobie, co tylko będziesz chciał za swoją dolę. Tak czy siak jest fatalny. Rabbie Burns wypułby go Maconochiemu w mordę.

Taffy'emu Thomasowi, który prowadził (prowadził!), udało się trzy razy zabłądzić, ale ostatecznie znaleźliśmy ten dom, otworzyliśmy drzwi kluczem Matyldy i weszliśmy do środka, korzystając z niewielkiego planu, jaki dla nas narysowała. Na szczęście stalowa szafa znajdowała się w pokoju na parterze, a jeśli zastanawia was, dlaczego o tym mówię, zaraz się dowiecie.

Szafa wyglądała na mocną, można by powiedzieć nie do ugryzienia, a Maconochie, rzecz jasna, zamknął ją i klucz zabrał ze sobą.

- O rany, ale będziemy mieli z tym ubaw, bracie - zauważył Taffy z zakłopotaniem. - Wygląda jak Fort Knox, nie?

- Cholera, musimy ją oczywiście rozwalić - powiedziałem ze złością. - Dawaj łom.

- Nie zwracałem sobie głowy łomem - odparł Taffy. - Mówiłeś, że masz klucz.

- Tak, ale od drzwi wejściowych! - wrzasnąłem. - W każdym razie musimy coś zrobić. Zajrzyj do swojej torby z narzędziami.

Taffy niezgrabnie przestępował z nogi na nogę i próbował ukręcić sobie palec wskazujący.

- Wybacz, bracie, ale narzędzia zostawiłem w garażu.

- No, nie! - ryknąłem waląc się pięściami w skronie. - Nie wiedziałem, kolego, że jesteś aż tak tępy... taki tępak!

Ten walijski baran spuścił głowę, ale po chwili jego okrągła, przypominająca księżyc w pełni gęba rozjaśniła się.

- Posłuchaj, a może by ją tak wynieść?

- Wynieść? Ona waży chyba z tonę!

Taffy wypiął pierś jak żaba i pokazał swoje imponujące mięśnie.

- Opatrzność nad nami czuwa - rzekł. - Mogę ją podnieść, bracie, i potrząsnąć jak skarbonką.

- Chciałbym to widzieć - powiedziałem kwaśno.

On ją prawie podniósł, ale nie jestem pewien, czy sobie czegoś nie nadwerekował.

- Dawaj - ociągając się zaproponowałem niechętnie. - Zatargamy to razem do furgonetki.

I tak właśnie zrobiliśmy. Na szczęście z pokoju, w którym znajdowała się stalowa szafa, na podwórko, gdzie zaparkowaliśmy furgonetkę, nie było zbyt daleko, choć nam się zdawało, że to ze sto mil.

Według mnie, załadowanie szafy do furgonetki było nawet jeszcze bardziej wyczerpujące niż wyniesienie jej z domu przez dwoje idiotycznie wąskich drzwi, ale ostatecznie uporaliśmy się z tym.

Zwaliłem się ma maskę samochodu, żeby złapać oddech.

- Jasny gwint - wysapałem. - Myślałem, że wystarczy kiwnąć palcem.

Taffy dyszał chyba jeszcze głośniejszą ode mnie, a obaj byliśmy skapani we własnym pocie.

W końcu zamknął furgonetkę i wgramolił się za kółko.

- No, mamy to za sobą, chłopie! A teraz pryskamy!

- Co ty powiesz? - rzuciłem posyłając mu wściekłe spojrzenie.
Przejechaliśmy może ze dwie mile, kiedy jakiś policjant na motocyklu pomachał nam lizakiem i kazał się zatrzymać na poboczu. Wsadził głowę przez okno z mojej strony.

- To właśnie was szukamy - odezwał się dziarsko.
Poczułem, że nogi mam z waty.

- Ee... a o co chodzi? - spytałem z nadzieją, że nie zrobi mi się słabo.
- Jesteście z Wytwórni Chemikaliów Cattermole'a? - warknął urzędowo.
- Nie - odparłem. - Z Fabryki Metalowych Mebli Biurowych.
Obszedł furgonetkę i zajrzał przez okienko w tylnych drzwiach. Potem wrócił.

- Dobra, w porządku - powiedział. - Bo, widzicie, wasza furgonetka jest tak samo pomalowana jak tamta z Wytwórni Chemikaliów Cattermole'a. Te głupki zabrały niesprawny balon z kwasem, co może być bardzo niebezpieczne. W czasie jazdy trzymajcie oczy szeroko otwarte, a jeśli ich spotkacie, powiedzcie im o tym.

- Ależ tak, oczywiście, z przyjemnością - rzekłem rozpromieniony.
Glina z warkotem pojechał dalej. Wyjąłem chusteczkę i wytarłem sobie pot z twarzy.

- Czuję się jak zbity pies - wyznał Taffy, a jego przypominająca księżyc w pełni twarz była bielsza niż zwykle. - Czasem wydaje mi się, bracie, że życie kryminalisty to nie dla mnie.

Ja również tak się czułem, ale nigdy bym się nie ośmielił do tego przyznać.

Pojechaliśmy prosto do Taffy'ego. Miał rozpadającą się budę, zwaną przezeń garażem, gdzie trzymał swoją furgonetkę i parę innych rzeczy, które, jak podejrzewam, gdzieś rąbnął. Kiedy już uporaliśmy się z wyniszczającym siły procesem wyładowywania stalowej szafy z furgonetki, Taffy z radości zatarł ręce.

- Teraz nareszcie się do tego dorwiemy, bracie!
Wyjął torbę z narzędziami, której przedtem zapomniał, i przypuścił taki atak na szafę, jakby zamierzał rozbierać Tower Bridge.

W końcu drzwi ustąpiły i na podłogę posypała się prawdziwa kaskada banknotów, na które mieliśmy taki apetyt.

Oczy Taffy ego omal nie wyskoczyły z orbit.

- Chwała świętemu Dawidowi! - wykrzyknął nabożnie. - Och, bracie, popatrz no tylko na te pliki... na te wspaniałe niebieskie pięciofuntówki...! Ale mamy pieniądze... ale mamy kupę pieniędzy!

- Kupę czego!?! - wrzasnąłem.
Podniosłem plik tego, co wyglądało na pięciofuntówki, z furią cisnąłem nim w głowę Taffy'ego.

Chyba nie mogę mieć żalu do Matyldy. Nie mam prawa. One rzeczywiście niesłychanie przypominały banknoty pięciofuntowe.

Owych tysięcy nalepek w atrakcyjnym odcieniu błękitu nie zdołała, niestety, podobizna Jej Królewskiej Mości Elżbiety II, lecz portret szkockiego barda o chłopięcym wyglądzie oraz napis: „Rabbie Burns, Fine Old Matured Whisky, 100° proof”.

Przełożył MAREK CEGIEŁA